Anaheim-Landing

[ok. 1 sierpnia 1876]

Przy odsyłaniu gazet korzystam ze sposobności, żeby choć parę słów napisać. Jestem znów w Landing, wśród mew i pelikanów. Kąpałem się już parę razy. Służy mi to i gdyby przy tym był ostendzki kursal, orkiestra, wyzłocone restauracje, piękne kobiety, zapewne kuracja byłaby kompletniejszą. Ale tu jest jedna bieda: oto nie bardzo jest co jeść, a przy kąpielach jeść się chce. Zresztą słaby jestem i kwita. Nie mogę także wiele pisać, bo muskity pożerają mnie żywcem. Po moim dramacie wysiliłem się i ledwo naskrobałem jedną korespondencję, którą i tak trzeba przerobić.

W „Gazecie" widziałem podkreślone *Przebojem. Les beaux esprits se rencontrent*!, a może i spotkają się jeszcze w tym, że *Na przebój* spotka takiż sam los jak i *Przebojem.* Ale nie sądzę – chybaby przez niesprawiedliwość profesorów, jak mawiałem za czasów szkolnych, gdy mi się zdarzyło nie dostać promocji. Znam doskonale tę sztukę, która została premiowana, tj. *Pojedynek szlachetnych.* Miedzy ślepymi jednooki królem. Nie jest to znów taka wyżyna niedostępna, na którą by się wdrapać komukolwiek z nas było niepodobieństwem. Znam także wiele innych, o których mowa w „Gazecie", bo czytałem je w rękopismach. Pisane są sposobem: „Trawy się dzierżał, trawa się urwała." Zresztą co tam! pokaże się – jak sztuka nie pójdzie na żaden konkurs, to i tak ją zagrają i zapłacą! Zawsze zarobiłem kilkaset rubli.

Jak się Panu podoba „Gazeta"? Mnie bardzo. Korekta, zwłaszcza moich artykułów, jest pod psem, ale redakcja staranna, artykułów sporo, treść rozmaita – słowem „very well". Przyznaję, że trochę banduję do „Gazety" – i do Lea, bo to jeden z najpoczciwszych ludzi na świecie, jakich znam. Zdaje mi się, że zaczynają brać za łeb „Wiek" i cieszę się serdecznie, nie wyobrazi Pan bowiem sobie, co to za zasraniec i za osieł, i za kiep jest ten Zalewski. Jest to taki synek mamunin – komediopisarz z piernikami na koszuli, któremu papa kupił gazetę, a mama robi sławę geniusza. Opowiadała raz, że okradał „Kazia" Narzymski i młody Fredro, a nie ręczy, czy i nie stary Fredro. W chwilach silnego rozwolnienia zaczynam myśleć o Zalewskim i natychmiast dostaję zatwardzenia. Dawałem ja jemu wcierania w *Chwili obecnej* jako „Kulawemu diabłu"', które popamięta długo, jednakże żałuję, że nie jestem w Warszawie, aby dawki powtórzyć. –

Nie uwierzy Pan, jakbym chciał, nie tylko we własnych widokach, żeby nasza „Gazeta" zaczęła robić interes. Należy się to jej i należało od dawna, ale nasi głupi Polaczkowie woleli „Warszawską"' z jej łamami politycznymi od pierwszej stronicy do ostatniej lub „Wiek". Cóż po muzyce osłom! Na próżno w „Polskiej" był i nakład największy, i artykuły najlepsze, i korespondencje najliczniejsze. – Powiadam, że nie ma większych durniów jak nasza

„poczciwa” i szczera publiczność mająca zawsze jakieś swoje powagi *à la* Wójcicki, *à la* n a s z Wójcicki, n a s z Koenig etc. Teraz, zdaje się, zaczyna być inaczej. Zresztą wojna, więc wszystkie polityczne dzienniki muszą robić interesa.

„Niwę” za to pewno diabli wezmą. Nie miałem o niej wiadomości ani słowa: co prawda, i sam nie pisałem tam ani słowa, choć jestem niby współwłaścicielem: – ale nie stoję już o to. Jeżeli żal mi tych kilku tysięcy rubli, to dlatego, że w większej części były zapożyczone i jeżeli przepadną, muszę je spłacać cząstkami honorariów z „Gazety” – Bóg wie jak długo. A przy tym Bóg wie także, kiedy się ta spłata rozpocznie. Zresztą mniejsza o to. „Tygodnik” mniej mi się podoba, zwłaszcza ich kroniki. Czy Pan uważa, że ten ich ton, jakiś zasrańcowato serdeczny, czytany o kilka tysięcy mil, wydaje się śmieszny. Jest w tym jakieś namaszczenie z rozpiętymi portkami, jakaś obywatelska prawość i cnota, której koszula wyłazi. Nawet kopiejek 35 dla rodziny po śp. Grochowskim oni nie oddają ale „przelewają” uroczyście do red[akcji] „Kur[iera] War- [szawskiego]”. Zresztą artykuły niezłe, tylko powieść Deotymy mnie nie zachwyca. Jest to coś tak babsko-konwencjonalnego, że nie umiem nawet znaleźć wyrazu.

Dziękuję za list Wiśniowskiego. Biedny człowiek. Lubo nie krzywdzę go posądzeniem, aby zawsze mówił, a zwłaszcza pisał prawdę, jednak układ z Grackiem Ungrem jest możliwy. Wiśniowski ma wziętość, a Gracek bawi się w wielkiego wydawcę, lubo na ogół wziąwszy jest głupi jak midasowe uszy. Przeszlijcie Wiśniowskiemu moje ukłony: napiszcie mu, niech przyjedzie do Kalifornii – bo każdemu wszystko jedno, gdzie mu zdychać. Mnie także wszystko jedno, dlatego do domu nie tak prędko się wybiorę, bo zresztą gdziekolwiek jestem, zawsze jedno mogę robić, to jest bazgrać, a raczej wodę warzyć, woda będzie. Gdyby Wiśniowski przestał pisać, byłaby szkoda, bo on ma talent. – Panią Helenę i całe towarzystwo przyjmijcie tam i nie zniechęcajcie, skoro już wszyscy przyjechali. Zresztą ona nie zerwała z teatrem. Może wrócić, kiedy chce, i mówiąc nawiasem, robię lekkie przypuszczenie, że tak zrobi. – Co ja z czasem zrobię, nie wiem. Może pojadę do Australii, może do Afryki, a może na tamten świat. Ale pierwsze wyjazdy w każdym razie nieprędko nastąpią – ostatni nie ode mnie zależy. Zabieram się oto do większej powieści i mam nadzieję, że skończę ją niedługo, bo jak co zacznę, to robię już gorączkowo.

Domu w Anaheim dla towarzystwa jeszcze nie nająłem. Najmę od 15 przyszłego miesiąca, bo prędzej tu nie będą. Powiedzcie im, ażeby niedługo bawili w San Francisco, albowiem im mniej na ogół stracą pieniędzy, tym będzie lepiej. W Anaheim, jak tylko będę mieć dom najęty, będzie taniej, stołować się mogą przez pierwsze dni w Planters Hotel, gdzie, mówiąc nawiasem, podle jeść dają, potem kupią zapas mąki, kawy, herbaty, co wszystko jest tanie – a mięsa łatwo tu dostarczyć, z byle strzelbą, nawet takim partaczom myśliwym, jak ja

jestem.

Trafiają do Anaheim w dobry czas, mianowicie w czas golizny, kiedy ziemie spadają w cenie, można więc coś kupić i dobrego, i tanio. Oczywiście jest to czas przejściowy, bo potem znów ziemia ogromnie skoczy w cenie, ale golizna jeszcze z rok potrwa. Gdybym tak o wszystko był spokojny jak o to, że oni z głodu nie umrą, byłbym w ogóle bardzo spokojny. Powiedzcie im to. Nie wiem jeszcze dobrze, kto przyjeżdża, ale przypuszczam, że z mężczyzn, nie licząc dzieci: Chłapow[ski], Sypniewski, Paprocki i Witkiewicz, wszystko naród dobry i nie filisterski – któremu sprzykrzyło się to najgłupsze i najbardziej plotkarskie, i najbardziej zasrane wewnętrznie, a pognębione zewnętrznie miasto Warszawa. Spytacie, co tu będą robić? Będą chodzić na czworakach, to przynajmniej zgodnie z naturą. Przecież Voltaire tak chciał chodzić po przeczytaniu *Historii naturalnej* Buffona. Chciałbym go widzieć w takiej pozycji! Ja będę z nimi robił toż samo. Kręciłbym nawet ogonem z radości, gdybym go miał w przyzwoitym i należytym miejscu osadzony. W Warszawie z ludzi publicznych lubię tylko dwóch: Lea i Henkiela, reszta albo kpy, albo safanduły.

Nie wiem, czy to skutkiem samotności, czy skutkiem towarzystwa tylko z mewami i pelikanami, ale nie uwierzycie, w jakiej gwałtownej jestem *krysis* suchot duszy w tej chwili. Sceptycyzm mój posunął się aż do tego stopnia, że wydaje mi się, iż zło i dobro to jest tylko humbug, a pojęcia o nich dwoma przeciwnymi tylko objawami głupoty ludzkiej. Wszechświat zna jeden tylko porządek, tj. ślepą logikę. Jest to prawdziwa filozofia pesymizmu, która jednak jako zasada życia nie wystarcza. Nie mam się więc za co uczepić — nie mam punktu wyjścia, osi życiowej. Mam tylko pelikany. Onegdaj zabiłem jednego, a gdy spadł ciężko na piasek i począł gasnąć — zdawało mi się, żem popełnił wielkie świństwo. Przyrzekłem sobie, że im dam pokój: za to z muskitami toczę nieubłaganą walkę o byt. — Gdybym wierzył w Boga, rozmawiałbym z Nim w tej mojej samotności, tak jak Strenclówna ze swoim zajebanym bratem, ale nie mając tej nawet pociechy mogę tylko pisać listy. Dlatego ten jest tak długi i tak bezsensowny. Pomyślicie, że jestem bliski pomieszania zmysłów, ale tak jeszcze nie jest. Jeszcze wiem, że nie zjadłbym ani jednej całej indyki, a cóż dopiero szesnastu, tak jak doktor Tecław! Co zaś do asocjacji idei, tę zawsze miałem kobiecą i dziecinną, tak jak Tyszyński, który gdyby nie to, byłby europejską znakomitością. – Może to oddalenie od Matyldy tak mnie rozstraja. Powiadam Wam, że to jest *señorita mas amable que jamas he visto!* Bo też pomyślić sobie, że człowiek ma szesnaście tysięcy nabojów, że zatem ja mam jeszcze z pięćset (przypuszczenie dowodzące skromności), i że te pięćset, które sama natura zdawała się dla Matyldy przeznaczać, leżą nieużytecznie i starzeją o 15 mil od Matyldy albo co gorzej, wystrzeliwane są przez sen na prześcieradła Maxa Neblunga. Okropność!

A teraz rzecz zabawna: Oczywiście jestem najdystyngowańszą osobą w Landing. Jest tu tedy pewien Niemiec, mówiący nawet trochę po francusku, nazwiskiem Szubert: wielki *dandy*, który uważa mnie za wzór niedościgniony wielkoświatowych przymiotów. Gdy przy obiedzie dobieram drugi raz jakiej potrawy, Szubert także. Co więcej – ponieważ w ciągu doby zrobiłem koło 7dmiu mil naszych konną, chodzę więc okrakiem jak kobieta w ciąży. Otóż zauważyłem, że i Szubert już zaczął chodzić okrakiem. Muszę kiedy na kogo wypiąć zadek, zobaczę, czy i to Szubert weźmie za wielkoświatową manierę.

Co do hiszpańskiego języka, wyobraźcie sobie, przekonywam się, że każdy z nas umie po hiszpańsku, kwestia tylko w tym, że nie każdy wie o tym. Najłatwiejszy język na świecie! Biorę książkę pierwszy raz w życiu i trzy czwarte rozumiem bez słownika. Pyszny język! W miesiąc będę chyba mówił jak rodowity Hiszpan. Tymczasem papier mi się kończy, więc ściskam Szanownego Pana. Proszę przesłać mi gazety i pisać do mnie listy. Kapitan napisał do mnie list taki, że i literat z rzemiosła by się nie powstydził. Ściskam. Pani moje uszanowanie. Pawłowi, pannie Julii i wszystkim pozdrowienie.

H. S.